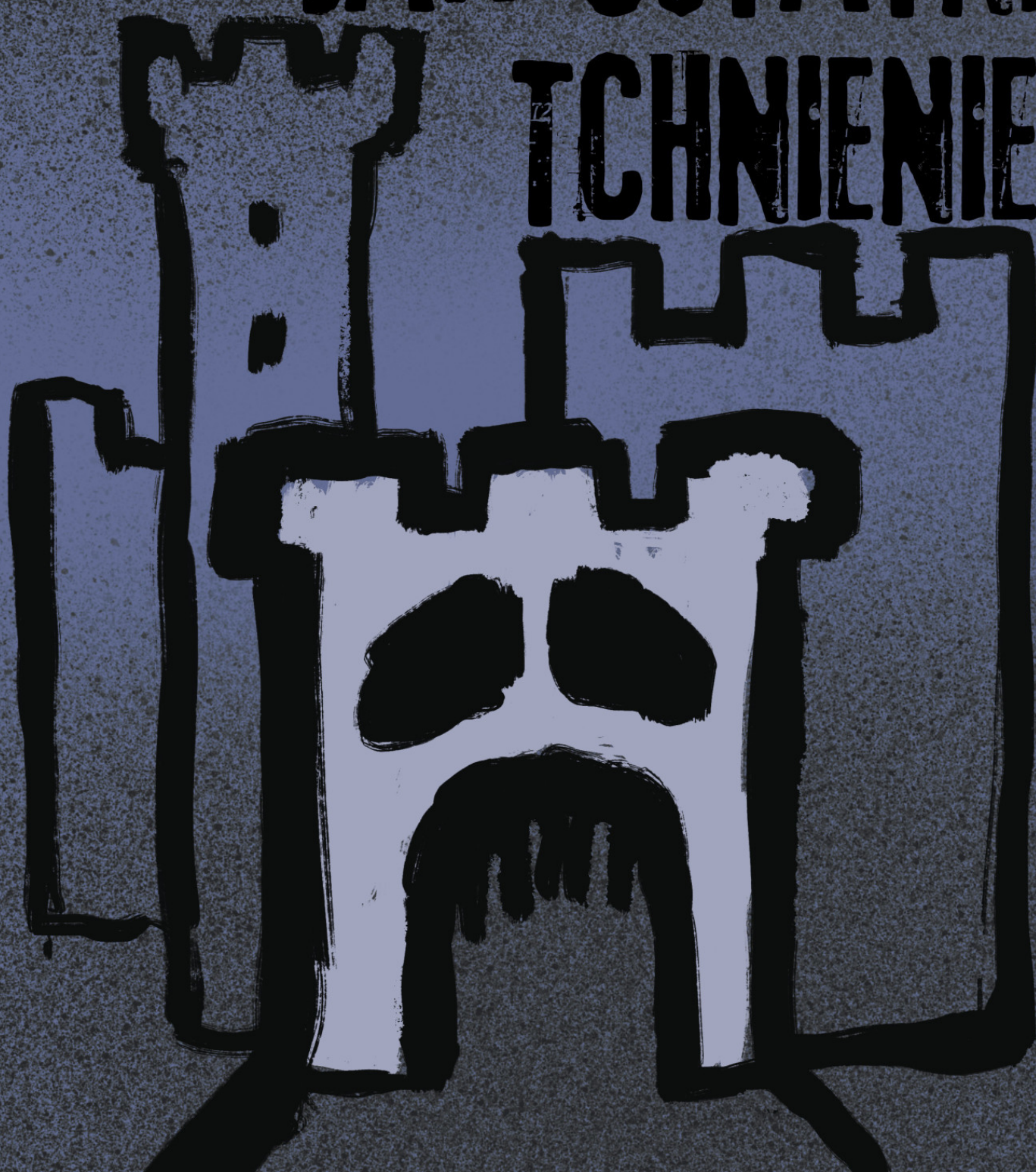


JOE ALEX

CICHA JAK OSTATNIE
TCHNIENIE



Joe Alex

CICHA JAK OSTATNIE TCHNIENIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-21-2

© Copyright by The Estate of Maciej Słomczyński (2022)

© Copyright for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

Projekt okładki: Olga Bołdok

*Któż z nas, żyjących, rzecz może:
„Dostrzegłem śmierć, gdy wchodziła.
Wiem, którędy wyszła
Pozostawiając za sobą milczenie.”?
Zna Śmierć tysiące drzwi najrozmaitszych,
Którymi w dom nasz wchodzi bez przeszkody,
A nie powstrzyma jej zamek przemyślny,
Zasuwa krzepka ani wierne straże,
Gdyż przemknąć umie przez mury i kraty,
Śladu żadnego nie pozostawiając,
Zimna, tajemna i nieunikniona,
Mroczna i cicha jak ostatnie tchnienie.*

George Crosby (XVII wiek) *Medytacja moja o narodzinach i śmierci*

SPIS TREŚCI

- I. „MORDERSTWO? TO BYŁOBY ZBYT PIĘKNE!”
- II. „ROZWIAŁA SIĘ JAKO MGŁA I NIE ODNAŁAZŁ JEJ NIKT...”
- III. „NIE SZTUKA MIEĆ OSIEMNAŚCIE LAT...”
- IV. ZNAK ZAPYTANIA
- V. STARY, ZMĘCZONY CZŁOWIEK
- VI. NIEPOSZLAKOWANY, STANOWCZY I MIŁY
- VII. UŚMIECHNĄŁ SIĘ POGODNIE
- VIII. TRZY FOTOGRAFIE
- IX. CZY NAPRAWDĘ COŚ MU DOLEGA?
- X. CZY PRZYGOTOWAŁEŚ MIEJSCE DLA TYCH BESTII?
- XI. „ISTNIEJĄ TAK JAK PAN I JA...”
- XII. „KTÓŻ Z NAS BYŁBY BEZ WINY!...”
- XIII. „CZY ZNAJDZIE MNIE PAN?”
- XIV. GDYŻ PRZEMKNAĆ UMIE PRZEZ MURY I KRATY, ŚLADU ŻADNEGO NIE POZOSTAWIAJĄC
- XV. „SAM TERAZ PRZEMIERZASZ DOM SPLAMIONY MORDEM...”
- XVI. „BĘDĘ CZEKAŁA...”
- XVII. „BÓG ZLITOWAŁ SIĘ NAD TOBĄ, EWO!”
- XVIII. OCZY MIAŁA SZEROKO OTWARTE
- XIX. LECZ JEDNAK KTOŚ JĄ ZABIŁ
- XX. TO WSPANIAŁE!
- XXI. NIKT SAM NIE SPUŚCI TEJ KRATY
- XXII. „W MOIM ŁÓŻKU ŚPI SZKIELET...”
- XXIII. SCHLUDNA I PEDANTYCZNA
- XXIV. KTO JĄ ZAPROSİŁ?
- XXV. MOTYW
- XXVI. TO MIAŁ BYĆ WYPADEK
- XXVII. KARTA DRGNEŁA

I. „MORDERSTWO? TO BYŁOBY ZBYT PIĘKNE!”

Pani Sara Quarendon przystanęła i rozejrzała się.

– Nie widzę psów – powiedziała. – Nie powinny odbiegać od nas tak daleko. Mogą kogoś przstraszyć.

Idący za nią Melwin Quarendon zbliżył się i także przystanął.

– Co powiedziałaś?

Odetchnął głęboko i sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Był człowiekiem otyłym, a wijąca się polami ścieżka, po której szli, pięła się ku szczytowi łagodnego wzgórza.

– Nie widzę psów – powtórzyła jego żona. – Czy możesz je przywołać?

– Oczywiście.

Pan Quarendon zaczerpnął tchu i wydał z siebie ostry, przenikliwy gwizd. Przesunął oczyma po dalekim, przecinającym pola żywopłocie, od którego oderwały się dwie szare, niskie sylwetki i ruszyły ku niemu, rosnąc szybko w oczach. Po chwili były już przy stojących i znieruchomiały, wpatrzone w twarz pana, dwa potężne, płowe wilczury.

– Tristan! – powiedział pan Quarendon łagodnie i wyciągnął rękę.

Jeden z wilczurów podszedł i dotknął ciemnym, wilgotnym nosem jego palców, a później przysiadł na zadzie spoglądając wyczekująco w górę.

– Izolda!

Drugi pies podszedł i wszystko powtórzyło się tak dokładnie, jak gdyby cała ta scenka należała do jakiegoś tajemnego rytuału łączącego te trzy żywe istoty. Żaden z psów nie spojrzał nawet na stojącą tuż obok kobietę.

– Idźcie teraz za nami! – powiedział pan Quarendon i ruszył w kierunku szczytu wzgórza. Psy odczekały krótką chwilę i weszły na ścieżkę.

– Melwin... – powiedziała pani Quarendon półgłosem, jak gdyby chciała, żeby psy nie dosłyszały tego, co ma powiedzieć.

– Tak, kochanie?

– Chwilami przeraża mnie to. Zachowują się, jakby umiały po angielsku, ale tylko wtedy, kiedy ty do nich mówisz.

– Nie chcesz chyba, żeby reagowały na rozkazy obcych ludzi? Nie po to je mam. Czy wolałabyś, żeby towarzyszył nam na spacerze młody człowiek o szczęce boksera, ubrany nawet podczas największego upału w luźną marynarkę kryjącą w olstrach pod pachami dwa ogromne pistolety?

– Ale czy to naprawdę konieczne? Nie jesteś przecież politykiem.

– Ale jestem bardzo bogaty.

Pan Quarendon szybko otarł spocone czoło i spojrzał w kierunku grzbietu wzgórza, który wydał mu się równie odległy jak przed kwadransiem.

– Jestem bardzo bogaty i coraz starszy. Czy musimy dojść aż tam?

– Musimy! – powiedziała dobitnie jego żona. – Nie jesteś jeszcze stary, ale tyjesz. Gdyby nie ja, nie zrobiłbyś z własnej woli nawet dwustu kroków dziennie. Wszędzie ci dowożą. Te przekłete samochody skracają ci życie. Zapytaj doktora Harcrofta. Potwierdzi każde moje słowo. Powiedział mi, że jeszcze nie masz prawdziwych kłopotów z sercem, ale możesz mieć, jeżeli nie będziesz chciał zmienić trybu życia. Nie jestem jednak pewna, czy to, co robisz, można w ogóle nazwać trybem życia?

Pan Quarendon roześmiał się. Przystanął. Idące za nim psy przysiadły i uniosły głowy, wpatrzone w niego.

– Czy pamiętasz – powiedział – jak zbieraliśmy pieniądze na naszego pierwszego mini-morrisa z drugiej ręki?

– Ważyłeś wtedy sześćdziesiąt funtów mniej niż teraz.

Pani Quarendon pokiwała melancholijnie głową. Lekki powiew wiatru poruszył jej krótko przyciętymi, siwymi włosami.

– A teraz masz dwa rolls-royce’y, nie licząc sfory tych mniejszych. To było czterdzieści lat temu... – urwała.

Znowu ruszyli. Przez chwilę szli w milczeniu.

– Byłem chłopcem do wszystkiego w księgarni – powiedział nagle pan Quarendon. – Zawsze lubiłem książki. Nie czytałem ich początkowo, ale to była przyjemna i czysta praca. Przenosiłem paczki z samochodów do sklepu, później pakowałem towar, myłem szyby, sprzątałem, a w każdą sobotę chodziliśmy do kina. A później wzięliśmy ślub i byłem tak samo szczęśliwy jak dziś. Może nawet szczęśliwszy, bo dzień i noc marzyłem, żeby zdobyć to, co mamy dzisiaj.

Pani Quarendon uśmiechnęła się, ale nie dostrzegł tego, gdyż szedł za nią.

– Melwin, nie okłamuj mnie!

Roześmiała się nagle. Jej śmiech nie był śmiechem siwej, starzejącej się kobiety. Był dźwięczny i młody.

– Nigdy dotąd cię nie okłamałem! – powiedział pan Quarendon z przekonaniem tym większym, że natychmiast w umyśle jego zaczęły pojawiać się bardziej lub mniej zamglone twarze dziewcząt i kobiet, ogniwa łańcucha jego mniejszych i większych win, o których na szczęście nie wiedziała i nigdy się nie dowie, jeśli to będzie w jego mocy. Spowaźniał nagle, ale jego żona nie zauważyła tego.

– Nie myślę o żadnych wielkich kłamstwach – Sara Quarendon machnęła ręką, nie odwracając się i nie zwalniając kroku. – Powiedziałeś przed chwilą, że marzyłeś wtedy o tym, co masz dziś. To nieprawda, albo, jeśli chcesz, to nie cała prawda, bo marzysz bez przerwy! Nie przestajesz marzyć ani na chwilę, chociaż inny człowiek na twoim miejscu uznałby, że osiągnął już dość sukcesów jak na jedno krótkie ludzkie życie.

– Zaczekaj – powiedział Melwin Quarendon.

Przystanęli. Psy przysiadły. Grzbiet wzgórza wydał mu się, na szczęście, o wiele bliższy. Odetchnął głęboko.

– Nie wolno przestać marzyć – przytaknął sobie zdecydowanym ruchem głowy. – Bo co pozostanie? Człowiek, który pracował przez całe życie, jaką radość może znaleźć w tym, że nagle pewnego dnia przestanie pracować tylko dlatego, że zarobił bardzo wiele pieniędzy? Pieniędźmi mierzy się sukces, ale same pieniądze nie są sukcesem. Zarobić milion, kiedy ma się sto milionów, jest łatwiej niż zarobić sto funtów, kiedy ma się dziesięć. Już wtedy, na początku, zrozumiałem, że na każdego klienta, który kupił zwykłą powieść albo tomik poezji, wypada dziesięciu kupujących nowości z nieboszczykiem albo na pół rozebraną, ponętą, przerażoną dziewczyną na okładce. Na kogoś, kto umiałby opanować ten rynek i sterować nim, czekały góry złota. Ale miałem dwadzieścia lat i ani pensa przy duszy. Stu innych, bogatych, sprytnych i przedsiębiorczych zajmowało się tym od dziesięcioleci. Pamiętasz nasz pierwszy sklepik? Kupowałem rozsypujące się książki i sklejałem je w nocy, a ty ze mną. Sprzedawali nam je po parę pensów mali chłopcy, a kupowali je inni chłopcy, płacąc pensa lub dwa więcej... i zbierałem te pensy, nie mówiąc ci, po co je zbieram. Bałem się, że będziesz protestowała, płakała, byłaś wtedy w ciąży, Ryszard miał przyjść na świat. A wszystko wydawało się takie niepewne. Byliśmy biedni. Jak mogłem ci powiedzieć, że chcę wydrukować moją pierwszą książkę, zanim dziecko się urodzi?

Szli bardzo powoli. Sara Quarendon milczała.

– Chciałem zostać wydawcą, a nie miałem nawet szylinga na zapłacenie pierwszemu autorowi. Autora zresztą także nie miałem ani tej wymarzonej książki. A gdybym ich miał, nie miałbym dość pieniędzy na opłacenie papieru, drukarni i kogoś, kto zrobiłby dobrą okładkę... To dziwne, ale wiedziałem, jak ma wyglądać ta okładka, chociaż było to zupełnie bez sensu, skoro nie znałem treści książki... Wiedziałem też, jak ma się nazywać

wydawnictwo. QUARENDON PRESS! Tak, Saro. Usypiając, marzyłem o tym, że ta nazwa znana będzie nie tylko w Londynie, ale w Nowym Jorku, Toronto, Melbourne, Johannesburgu, wszędzie na świecie, gdzie ludzie czytają po angielsku... W końcu znalazłem autora i książkę, a twoja matka pożyczyła nam sto funtów, które odłożyła sobie na starość...

Urwał. Łagodny uśmiech ogarnął jego pucołowatą, pozbawioną niemal zmarszczek twarz. Pani Quarendon przeszła jeszcze kilka kroków i zatrzymała się. Byli już na szczycie wyniosłości. Jej mąż przystanął tuż obok i położył lekko rękę na jej ramieniu. Przed nimi i za nimi rozciągały się w złotawej popołudniowej mgielce pasma niewielkich wzgórz i płytkich dolin Kentu. Wiatr ucichł zupełnie. Było bardzo ciepło i cicho.

Melwin uniósł dłoń. Wyciągnięte ramię skierował ku ścieżce, którą nadeszli, biegnącej przez okolone żywopłotami pola. Opadały one ku wielkiej kępie starych drzew, z pomiędzy których wynurzał się pokryty ciemnoczerwoną, prastarą dachówką spadzisty dach wielkiego domu.

– Gdybym był błaznem i gdybym przestał marzyć – powiedział pan Quarendon – nazwałbym go moją letnią rezydencją i spędzałbym tu połowę życia. Na szczęście, wciąż jeszcze nie mam na to czasu i wpadamy tu tylko na weekendy.

– Melwin... – powiedziała półgłosem pani Quarendon.

– Co, kochanie?

Zdjął rękę z jej ramienia i odruchowo pogłodził ją po policzku. Później, jak gdyby zawstydzony, prędko opuścił ramię.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Ja? Tobie? Dlaczego sądzisz, że właśnie teraz miałbym ci powiedzieć coś nadzwyczajnego? – potrząsnął głową.

– Kobiecie, która przeżyła z mężczyzną czterdzieści lat, nie powinien ten mężczyzna zadawać takich pytań. Widać na pół mili, że chcesz mi o czymś opowiedzieć. Dlatego tak łatwo zgodziłeś się na ten spacer, chociaż zawsze muszę cię przekonywać co najmniej przez pół dnia. Zresztą już od pewnego czasu jesteś napięty i rozmyślasz o czymś. Zaraz zaczniemy schodzić w stronę domu. Joanna obiecała, że przyjedzie z dziećmi przed kolacją i zostaną przez trzy dni. Więc jeżeli rzeczywiście jest coś bardzo ważnego, o czym bardzo chcesz mi opowiedzieć, najlepiej będzie, jeżeli zrobisz to teraz.

– Kiedy naprawdę, moja droga, nie ma niczego, co... – Pan Quarendon urwał, a później roześmiał się.

– To prawda, wiesz o mnie pewnie więcej niż ktokolwiek na tym świecie. Ale nie dlatego, że przeżyłaś ze mną czterdzieści lat. Wydaje mi się, że zawsze wszystko wiedziałaś. Nie zmieniłaś się. Nie zmieniłaś się, chociaż syn nasz mówi oxfordzkim akcentem i spaceruje niedbale jak lord po dywanach gmachu QUARENDON PRESS w Nowym Jorku, a nasza śliczna i delikatna jak orchidea córka jest żoną członka parlamentu i ma osobną niańkę do każdego z moich wnuków. Przyjęłaś to wszystko, co zesłał nam los, ale na szczęście pozostałaś w duszy młodzieńką pokojówką z małego hoteliku, tak jak ja wciąż jeszcze jestem w jakiś przedziwny sposób związany z tym chłopcem z księgarni, który zapraszał cię na lody. Nauczyliśmy się mówić jak ludzie z innej niż nasza sfery, obrośliśmy w piórka, w miliony kolorowych piórek, ale gdzieś w głębi nic się w nas nie zmieniło. I chwała niech będzie Bogu za to! Bo znaczy to, że nie straciliśmy jeszcze siły.

– Masz słuszność – powiedziała pani Quarendon – ja też tak to odczuwam. Ale czy potrzeba aż tylu słów, żeby wyrazić to, o czym oboje dobrze wiemy? Jesteś czymś podniecony, czymś, co ci chodzi po głowie. Znowu o czymś marzysz, prawda?

– Tak – pan Quarendon odetchnął z ulgą. Jeśli opowie jej o swoim projekcie, powinna uwierzyć, że to jedyny powód zmiany w jego zachowaniu. Stłumił nagle westchnienie i powiedział pogodnie: – Wymyśliłem coś nowego...

– Coś nowego? Czy chcesz zmienić QUARENDON PRESS w coś innego? Dlaczego, Melwinie?

– Nie rozumiałaś mnie... – zastanawiał się przez chwilę.

Mimowolnie zaczęli schodzić, idąc tym razem obok siebie. Psy przez chwilę siedziały na szczycie wzgórza, a później zbiegły truchtem i poszły za nimi.

– Może zacznę inaczej... – powiedział. – Cóż to jest QUARENDON PRESS? W rzeczywistości to taki sam dom wydawniczy jak inne, może tylko nieco większy. Mamy przedstawicielstwa i księgarnie na wszystkich kontynentach, podpisaliśmy wieloletnie kontrakty z wieloma dobrymi pisarzami kryminalnymi i zarabiamy masę pieniędzy. To prawda, ale to wszystko.

– A czy nie o tym marzyłeś, mając dwadzieścia lat?

– To też prawda.

– Więc o co chodzi?

– Chodzi o światowe imperium powieści kryminalnej! – powiedział cicho pan Quarendon i spuścił oczy, wpatrując się w dmuchawce rosnące obok ścieżki.

– Nie rozumiem – powiedziała jego żona. – Powiedz mi, co dokładnie masz na myśli?

Pan Quarendon zatrzymał się, zerwał ostrożnie najbliższy dmuchawiec, uniósł go i dmuchnął. Później odrzucił od siebie nagą łodyżkę.

– Jeżeli żądasz, żebym był zupełnie szczery, nie wiem, co dokładnie mam na myśli. Wiem tylko, czego bym chciał... Chciałbym, kiedy będę już stary, przekazać Ryszardowi firmę, która byłaby tak znana jak jej najlepsi autorzy. Słowa QUARENDON PRESS powinny być dla czytelników tak samo ważne jak tytuły naszych książek i nazwiska ich autorów. Świat zna tysiące rodzajów zbrodni wielkich i małych, morderstwo jest stare jak świat! Ileż zbrodni można wskrzesić, ile rozwikłać dawnych tajemnic! A dodaj do tego małych, współczesnych dyktatorów i wielkie organizacje przestępcze! Zbrodnia jest wszędzie i w ślad za nią powinna iść QUARENDON PRESS! A świat powinien o tym wiedzieć! Tego rodzaju reklamy nie próbował dotąd nikt!

Umilkł i odetchnął głęboko.

– Ale to wymaga tysięcy ludzi i agencji śledczej obejmującej cały świat – powiedziała spokojnie jego żona. – Żaden prywatny człowiek, żadna firma, chociażby największa, nie może nawet o tym marzyć.

– Gdybym kiedyś nie marzył, byłbym do tej pory ekspedientem w księgarni. Cały świat, to sprawa przyszłości, ale jak zawsze trzeba od czegoś zacząć i zobaczyć, co wyniknie z pierwszego posunięcia. Później zastanowię się, co dalej.

– Czy wymyśliłeś już pierwsze posunięcie?

– Tak. Kupiłem zamek.

– Kupiłeś zamek?

Pani Quarendon zatrzymała się pośrodku ścieżki. Nagle opuścił ją dystyngowany umiar, którego mozolnie uczyła się przez lat czterdzieści.

– Czyś ty czasem nie upadł na głowę, Melwinie?

Pan Quarendon objął ją w pól i pocałował w policzek.

– Nie martw się, staruszek! Kupiłem go niemal za darmo. Ale nie jest to zwyczajny zamek. Trzysta lat temu popełniono w nim zbrodnię doskonałą i do tej pory nikt nie wie, co się stało z nieboszczką i czy zbrodnię tę na pewno popełniono. A to znaczy, że jeżeli chcę na serio potraktować moje własne plany, QUARENDON PRESS ma tam coś do roboty.

– Jeżeli będziesz chciał kupić każdy zamek, w którym kogoś zabito, czeka mnie na starość sprzątanie pokoi hotelowych. Naprawdę, nic innego nie umiem robić. Moja babka zawsze mówiła, że mężczyźni tracą rozum, kiedy zaczyna im się za dobrze powodzić.

– Do tej pory nie miałaś powodu do narzekania – pan Quarendon roześmiał się. – Ten zamek to nasz królik doświadczalny. Za parę tygodni ściągnę tam małą grupkę znanych w

całym kraju bardzo ciekawych ludzi: naszych najpopularniejszych autorów i inne autorytety w dziedzinie zbrodni. Będziemy tam świętowali wydanie pięciomilionowego egzemplarza książek Amandy Judd, a później wszyscy zasiądą do rozwiązywania zagadki zamku. To będzie cudowna historia, Saro. Najwspanialsze umysły Anglii na tropie morderstwa popełnionego przed trzystu laty! W dodatku, ten zamek jest mroczny i straszny jak w bajce. Stoi na nagiej przybrzeżnej skale pośród morza i dostać można się do niego z lądu tylko w czasie odpływu. Każdy przyptyw zmienia go ponownie w wyspę. I gdzieś w nim ukryta jest zapewne kobieta zabita przez zazdrosnego męża. Nikt nigdy nie odszukał jej ciała. Podanie mówi, że ona nadal tam straszy, grożąc śmiercią tym, którzy pragną ją odnaleźć. Prawdziwa biała dama!

Zaprosiłem tam Joe Alexa, oczywiście Amandę Judd, Beniamina Parkera ze Scotland Yardu i parę innych znanych osób, a nawet starą panią, która napisała książkę o białych damach pojawiających się w angielskich zamkach. Namówiłem też Harolda Edingtona do spędzenia tam z nami tego weekendu. Podsekretarz stanu doda całej imprezie splendoru. Wszystko zacznie się niewinnie. Najpierw będzie to tylko zabawa, konkurs tropienia po przygotowanych z góry śladach. Białą damę zastąpi żywa dziewczyna, a kto ją pierwszy odnajdzie, otrzyma stosowną nagrodę. Ale naprawdę ważna będzie dopiero druga noc, kiedy QUARENDON PRESS po raz pierwszy spotka się z prawdziwą zbrodnią, i to zbrodnią sprzed stuleci!

Pani Quarendon westchnęła.

– Myślę, że zrozumiałam twój pomysł – powiedziała spokojnie. – Chcesz zmienić system reklamy i związać z nazwą twojego wydawnictwa rozmaite tajemnicze i mrożące krew w żyłach wypadki. To prawda, nikt tego dotąd nie robił. Ten pomysł z zamkiem, z groźną białą damą, z zebraniem tam grupki ludzi, którzy tyle napisali i tyle wiedzą o tajemniczych zbrodniach, to wszystko jest bardzo dobre. Na pewno będzie to sensacja. Czy zaprosiłeś prasę i telewizję?

– Niech mnie Bóg strzeże! – zawołał pan Quarendon. – Wszystko by przepadło! Potraktowano by to jako zwykły trick reklamowy znanej firmy wydawniczej. Nie, niech dowiedzą się o tym po fakcie, niech węszyć i prosić o informacje! Dopiero wtedy to ich naprawdę zacieka! Pozwolę sobie jednak na jeden wyjątek, bo konieczny mi jest utalentowany świadek, który to wszystko rozgłosi. Zaprosiłem więc pewną recenzentkę, uznaną wyrocznię w sprawach literatury kryminalnej. Oczywiście, zaprosiłem ją jako gościa, a nie sprawozdawcę. Ale żadna rasowa dziennikarka nie może oprzeć się takiej sposobności.

– No dobrze, ale skąd wiesz, że tajemnica tej białej damy zostanie rozwiązana?

– Zawsze wierzyłem, że los jest po mojej stronie – powiedział beztrząsowo pan Quarendon i mrugnął porozumiewawczo.

– I jeszcze jedno – pani Quarendon wzdrygnęła się – a co będzie, jeżeli ten duch naprawdę nienawidzi obcych, którzy chcą go odnaleźć; i ktoś zginie? Wiem, że mówię głupstwa, ale jestem trochę przesadna. Co byś zrobił, gdyby popełniono tam teraz jakieś tajemnicze morderstwo?

– Morderstwo! – Pan Quarendon wzdrygnął się mimowolnie, ale zaraz dodał z uśmiechem. – To byłoby zbyt piękne! Niestety, morderstwa nie da się zamówić za żadne pieniądze! Zaprosiłem samych godnych szacunku ludzi. A szkoda! – Roześmiał się znowu, ale natychmiast spowaźniał.

– Mam nadzieję, że nie wybierasz się tam? – spytała jego żona.

– Oczywiście, że się wybieram. Muszę to obejrzeć na własne oczy. Tyle spraw trzeba jeszcze przemyśleć, zanim ruszymy pełną parą. Żebyś się nie niepokoiła, zaprosiłem doktora Harcrofta. Będzie dbał o moje tłuste serce, kiedy nadejdą chwile napięcia. A mam nadzieję, że będzie ich aż nadto! Tristan i Izolda też pojadą.

Odwrócił się ku psom.

– Przyda się wam trochę morskiego powietrza, prawda?
Psy uniosły głowy i odpowiedziały mu spojrzeniem pełnym bezgranicznej wierności.

II. „ROZWIAŁA SIĘ JAKO MGŁA I NIE ODNALAZŁ JEJ NIKT...”

– List z QUARENDON PRESS, proszę pana – powiedział Higgins, podchodząc do stołu, przy którym siedział jego chlebodawca.

Joe wziął do ręki wielką, ciężką kopertę i odruchowo zważył ją na dłoni.

– Dziękuję.

Higgins skłonił głowę, wyprostował się i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się z ręką na kłamce.

– Czy będzie pan jadł lunch w domu?

– Tak. Będę pisał do wieczora, jeżeli nic mi nie przeszkodzi.

– Czy mam odpowiadać, że nie ma pana w domu, jeżeli ktoś zadzwoni?

– Tak. Z wyjątkiem panny Beacon, oczywiście.

– Oczywiście, proszę pana.

Drzwi zamknęły się cicho. Joe otworzył kopertę. Wewnątrz znajdował się duży, barwny folder z doczepioną spinaczem podłużną, wąską, białą kopertą, w której lewym rogu widniał małeńki zielony nadruk:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI